

# Święty Augustyn – „Wyznania”

<Księga 5>

## Spis treści

KSIĘGA PIĄTA.....	1
1. Przyjmij te wyznania, ofiarę, jaką składają moje usta Tobie .....	1
2. Niech sobie niegodziwi idą własną drogą, niech uciekają od Ciebie .....	2
3. Przed obliczem mojego Boga opiszę teraz dwudziesty dziewiąty rok mego życia.....	2
7. Gdy stało się dla mnie jasne, że Faustus zupełnie się nie zna na tych sprawach, w których oczekiwałem od niego wielkiego znawstwa, straciłem nadzieję .....	5
8. Tak więc mną pokierowałeś, że postanowiłem udać się do Rzymu i nauczać .....	6
9. Tu od razu powaliła mnie ciężka choroba, .....	7
11. Sądziłem też, że nie można odeprzeć zarzutów stawianych przez manichejczyków .....	10
13. Kiedy więc prefekt Rzymu otrzymał z Mediolanu list z prośbą o przysłanie do tego miasta nauczyciela retoryki.....	11
14. Bo chociaż nie brałem sobie do serca tego, co mówił Ambroży .....	12

## KSIĘGA PIĄTA

**1. Przyjmij te wyznania, ofiarę, jaką składają moje usta Tobie**, który je stworzyłeś i skłoniłeś do tego, by służyły imię Twoje. Ulecz wszystkie kości moje, aby wołały: Panie, któż podobny Tobie? Ten, kto spowiada się Tobie, nie powiadamia Ciebie o tym, co w nim się dzieje. Oczy Twe bowiem przenikają serce zamknięte. Człowiek może się opancerzyć twardością, ale niczym to jest dla Twojej ręki, która, jeśli chcesz, może każdy pancierz skruszyć — albo dla okazania miłosierdzia, albo dla wymierzenia kary. Nikt nie zdoła się osłonić przed żarem Twym. Niechaj ma dusza, sławiąc Cię, okaże tym swoją miłość. Niech sławi Ciebie dając świadectwo o czynach Twego miłosierdzia. Ani na chwilę nie przestaje Cię wielbić całe Twoje stworzenie. Człowiek otwiera usta do modlitwy i jego duch głosi Twoją chwałę. Także zwierzęta i rzeczy nieożywione sławią Cię ustami tych, którzy się im przypatrują. Nasze dusze bowiem, gdy omdlewiają w znużeniu, wspierają się na rzeczach, które stworzyłeś, aby podźwignąć się ku Tobie, który tak cudownie je stworzyłeś — a tam, u Ciebie, jest prawdziwe odetchnienie i prawdziwa moc.

**2. Niech sobie niegodziwi idą własną drogą, niech uciekają od Ciebie,** nie znając pokoju. Lecz Ty ich widzisz, wzrok Twój rozcina ciemności. Oto wszystko wokół nich jest piękne, a oni sami jakże szkaradni. Czy jednak zdołali Tobie zaszkodzić? Czy potrafili zhańbić Twoje panowanie, które swą niezłomną prawością rozciąga się od szczytów nieba do dna otchłani? Dokądże to oni uciekli, gdy uciekali od oblicza Twego? Gdzież jest takie miejsce, w którym nie mógłbyś ich osiągnąć? Lecz uciekli, aby nie widzieć Ciebie, który zawsze ich widzisz. Zaślepieni, nie widzą Tego, którego obrażają. Ale Ty nie porzucasz żadnej z rzeczy, jakie stworzyłeś. Wykroczyli przeciw Twej sprawiedliwości i zostali sprawiedliwie ukarani. Umknęli od Twej łagodności i sprzeniewierzyli się Twemu prawu, dlatego natrafili na Twoją surowość. Oni chyba nie wiedzą, że Ty jesteś wszędzie, a żadne miejsce Ciebie nie ogarnia. Tylko Ty jedyny jesteś zawsze obecny, zawsze bliski, nawet dla tych, którzy daleko od Ciebie uciekli. Niech więc zawrócą z tej drogi, niech zaczną szukać Ciebie, bo chociaż oni opuścili swego Stwórcę, Ty nie opuściłeś swego stworzenia. Niech się nawrócą i szukają Ciebie. I oto jesteś w ich sercach, w sercach tych, co Ciebie wyznają i rzucają się w Twe objęcia, i płaczą w Twym uścisku po swych wędrówkach jakże mozolnych. A Ty łagodnie ocierasz ich łzy, aby jeszcze obficie je wylewali i znajdowali radość w płaczu. Bo to jesteś Ty, Panie, a nie jakiś człowiek, istota z ciała i krwi; to jesteś Ty, Panie, który ich stworzyłeś, a teraz krzepisz ich i pocieszasz. A gdzież byłem ja, gdy szukałem Ciebie? Ty byłeś tuż przede mną, ja zaś odszedłem nawet i od samego siebie.

Nie mogłem siebie odnaleźć. Jakże miałbym znaleźć Ciebie?

**3. Przed obliczem mojego Boga opiszę teraz dwudziesty dziewiąty rok mego życia.** Właśnie przebywał wówczas od niedawna w Kartaginie pewien biskup manichejski imieniem Faustus, niezwykle łowca diabelski, który wielu ludzi oplątywał siecią swej uwodzicielskiej wymowy. Mnie też się ona podobała, ale rozumiałem, że trzeba od niej odróżniać samą prawdę o świecie, której byłem złażniony. Zważałem nie na to, w jakim naczyniu, ale na to, jaki pokarm wiedzy poda mi ów tak sławiony przez manichejczyków Faustus. Poprzedziła go rozgłośna sława, że jest to człowiek do głębi obznajmiony ze wszystkimi dziedzinami wiedzy, a zwłaszcza

wykształcony w sztukach wyzwolonych. Wielu już przedtem naczytałem się dzieł filozofów i miałem nimi wypełnioną pamięć. Teraz więc niektóre ich tezy porównywałem z rozwlekłymi baśniami manichejczyków. Bardziej prawdopodobne wydały mi się twierdzenia filozofów, pożyteczne przynajmniej w tym, że mogły być opisem tego świata, chociaż filozofowie nie odnaleźli jeszcze Tego, który jest Panem świata. Albowiem wielki jesteś, Panie, i na to, co niskie, patrzysz, a to, co wysokie, z daleka poznajesz. Zbliżasz się tylko do tych, którzy mają serca skruszone, a pyszni Ciebie nie znajdują, choćby swoim wszędobylskim doświadczeniem zliczyli gwiazdy i ziarnka piasku morskiego, choćby wymierzylili tory konstelacji i zbadali szlaki planet. W takich badaniach posługują się rozumem i talentami, które Ty im dałeś. Dzięki temu dokonali licznych odkryć i na wiele lat naprzód zapowiedzieli zaćmienia słońca i księżyca, podając, w jakim one nastąpią

dniu, o jakiej godzinie i czy będą całkowite, czy częściowe. Nie omylili się w obliczeniach i wszystko tak się działo, jak zapowiadali. Zapisali zasady, które odkryli i które możemy dziś odczytać. Na tej podstawie można teraz przepowiadać, w jakim roku, w jakim miesiącu, w jakim dniu i o jakiej godzinie nastąpi zaćmienie księżyca albo słońca i jaki będzie stopień tego zaćmienia. I tak się stanie, jak przewidujemy. Umiejętności takie są przedmiotem trwożnego zadziwienia dla ludzi, którzy nie znają ich podstaw. Są też przedmiotem wielkiej dumy tych, którzy się na tym znają. Popadają ci ludzie w bezbożną pychę, w cień oddzielający ich od światła Twego. Na tak długi czas naprzód przewidują zaćmienie słońca, a swojego aktualnego zaćmienia nie dostrzegają. Nie potrafią bowiem pobożnie zastanowić się nad tym, skąd mają zdolność do badania owych zjawisk. A nawet wtedy, gdy odkrywają, że Ty ich stworzyłeś, nie oddają się dobrowolnie w Twoje ręce, abyś strzegł tego, co stworzyłeś, ani nie zabijają siebie takich, jakimi siebie uczynili, w ofierze dla Ciebie. Dumnie wzbijają się ku górze jak ptaki; w nienasyconej ciekawości penetrują, jak ryby, zakamarki otchłani; w rozkoszach tyją jak bydło na łące. Gdyby złożyli siebie w ofierze, Ty, Panie Boże, który jesteś ogniem spalającym, pochłonąłbyś ich troskę o rzeczy śmiertelne, odnawiając ich samych dla życia wiecznego.

Nie znają Chrystusa, który jest Drogą i Słowem Twoim — Słowem, przez które uczyniłeś to wszystko, co oni zliczają, jak też ich samych, tych, którzy zliczają, jak i zmysły, którymi dostrzegają to, co zliczają, i umysł, który dokonuje obliczeń. A mądrości Twojej nikt nie zmierzy.

Lecz oto sam Jednorodzony stał się dla nas mądrością, sprawiedliwością i uświęceniem.<sup>1</sup> Uznano Go za jednego z nas i spłacił daninę cesarzowi. Tamci ludzie nie znają drogi, po której powinni zejść z wyżyny, gdzie siebie postawili, i wejść w górę ku Niemu. Nie znają tej drogi i łudzą się, że jaśnieją na wysokości jak gwiazdy. I oto nagle runęli na ziemię, a ich obłąkane serca ogarnęła ciemność. Mówią niemało prawdziwych rzeczy o stworzeniu, a Prawdy, która jest sprawczynią stworzenia, nie potrafią szukać pobożnie i dlatego też jej nie znajdują. A jeśli nawet rozpoznają Boga, nie składają Mu hołdu i dziękczynienia jako Bogu, lecz marnieją w swoich rozmyślaniach i sobie przypisują mądrość. Sobie przyznają to, co do Ciebie należy. Jeszcze gorzej: tak są zaślepieni, że Tobie usiłują przypisać to, co tylko od nich pochodzi. Kłamstwami obarczają Ciebie, któryś jest samą prawdą. I zamieniają chwałę niezniszczalnego Boga na podobieństwo zniszczalnego człowieka, jak też ptaków, czworonogów i płazów. Zamiast prawdy Twój wybierają kłamstwo. Składają hołd i służą raczej stworzeniu niż Stworzycielowi.<sup>1</sup>

Zachowywałem jednak w pamięci wiele trafnych opinii wypowiedzianych przez owych naukowców o świecie stworzonym. Ich obliczenia potwierdzała matematyka, regularne następstwo pór roku, jak też podległe obserwacji ruchy gwiazd. Porównywałem te teorie z koncepcjami Manesa, który o tych samych sprawach pisał wiele i zupełnie bez sensu. W jego pismach nie znajdowałem przekonującego wytłumaczenia takich zjawisk jak przesilenie dnia z nocą, zrównanie dnia z nocą, jak zaćmienia i inne tego rodzaju fenomeny, o jakich czytałem w książkach należących do nauki świeckiej. Wymagano jednak ode mnie

wiary w to, co napisał, chociaż było to całkowicie niezgodne z zasadami matematyki i ze wszystkimi moimi własnymi obserwacjami.

4. Prawda, o prawdomówny Panie Boże, że aby się Tobie podobać, nie wystarczy takie rzeczy znać? Jakże nieszczęsny jest ten, kto to wszystko poznał, a Ciebie nie zna. Szczęśliwy, kto zna Ciebie, choćby o tamtym wszystkim nic nie wiedział. Kto zaś zna i Ciebie, i tamte rzeczy, nie jest dzięki nim szczęśliwszy, lecz jedynie dzięki Tobie jest szczęśliwy, jeśli znając Ciebie hołd Ci składa jako Bogu i dziękczynienie, a nie marnieje w swoich rozmyślaniach.<sup>1</sup> Człowiek wiedzący o tym, że posiada drzewo, i dziękujący Ci, że może z niego korzystać, choćby nie znał dokładnie jego wysokości ani szerokości liściastej korony, w lepszej jest sytuacji od tego, który troskliwie je zmierzył i policzył wszystkie jego gałęzie, ale go nie posiada, jak też ani nie zna, ani nie miłuje jego Stwórcy. Podobnie człowiek wierzący rozporządza bogactwami całego świata: doktryny, zawsze mi mówili, że muszę z tym na niego poczekać, a on w rozmowie rozwiąże mi na pewno z całkowitą jasnością zarówno te jak i znacznie trudniejsze kwestie.

I oto wreszcie przyjechał. Ujrzałem człowieka sympatycznego, o niemałym uroku wysłowienia. Mówił wprawdzie to samo, co inni manichejczycy, ale ze znacznie większym wdziękiem. Czy mógł jednak moje pragnienie nasycić sam blask pucharu albo sama wytworność tego, kto mi puchar podawał? Moje uszy już się nasyciły takimi opowieściami, które teraz nie stawały się lepsze przez to, że były z większym kunsztem formułowane. Czyż sam dobry styl może nadać zdaniu prawdziwość? Czy miła twarz i składność wypowiedzi są zawsze dowodem mądrego umysłu? Ci, którzy mi zalecali tego męża tak gorliwie, raczej nie byli przenikliwi w ocenianiu ludzi. Uważali Faustusa za człowieka mądrego i głębokiego, bo oczarowani byli jego stylem. Zetknąłem się też z innym rodzajem ludzi, z takimi, którym nawet prawda wydaje się podejrzana i którzy nie są skłonni jej przyjąć, jeśli jest wypowiedziana kunsztownymi, okrągłymi zdaniami. Lecz mnie, Panie, już pouczyłeś we właściwy Tobie cudowny i tajemniczy sposób, że nigdy nie należy niczego uważać za prawdziwe dlatego, że jest kunsztownie sformułowane, ani też nie powinno się niczego uznać za fałszywe dlatego, że zostało wyrażone nieporadnie. Wierzę, że Twoje pouczenie jest słuszne, bo żaden nauczyciel prawdy, skądkolwiek by się wyłonił i gdziekolwiek by zabłysnął, nie jest równy Tobie. Pouczyłeś mnie też o odwrotnej zasadzie: nic nie jest prawdziwe dlatego tylko, że zostało wypowiedziane bez ozdób; ani nie jest fałszywe dlatego, że styl jaśniej wszelką wspaniałością. W ogóle to jest tak, że mądrość i głupota podobne są do pokarmów: jedna do pożywnego, druga do szkodliwego. I jedno, i drugie można ubierać w słowa ozdobne albo szare, jak też podawać na wytwornych talerzach albo w glinianych miskach.

Moje długie i niecierpliwe wyczekiwanie na Faustusa zostało wynagrodzone jego gotowością do rozmowy i składnie formułowanymi wywodami. Zachwycała mnie szybkość, z jaką znajdował dla każdej myśli odpowiednie słowa. Innym też się to podobało, ale mnie w sposób szczególny, najgoręcej go też wychwalałem. Martwiło mnie jednak, że wobec cisnących się dokoła niego słuchaczy nie mogłem podejść bliżej i w bezpośredniej, przyjacielskiej rozmowie przedstawić mu

problemów, jakie mnie dręczyły. Gdy wreszcie nadarzyła się sposobność do odbycia prywatnej rozmowy, razem z kilkoma przyjaciółmi roztoczyłem przed nim niektóre z moich wątpliwości. Już w tej rozmowie odkryłem niebawem, że oprócz erudycji literackiej, zresztą tylko elementarnej, człowiek ten nie posiada żadnego wykształcenia. Przeczytał zaledwie kilka mów Cycerona, jedną czy dwie książki Seneki, trochę poezji, a także te książki członków jego sekty, które się odznaczały dobrym stylem łacińskim. Nie licząc jego własnej, codziennej praktyki oratorskiej, książki te były jedynym źródłem jego wymowy, której czaru i uwodzicielstwa dodawała jego interesująca osobowość oraz jakiś wrodzony mu wdzięk.

Czy nie tak było, jak teraz to sobie przypominam, Panie Boże mój, Sędzio sumienia mego? Serce moje i pamięć leżą przed Tobą otwarte. To Tyś mnie wtedy prowadził tajemniczym zrządzeniem Opatrzności Twej. I już podsuwałeś mi przed oczy owe zawstydzające błędy moje, abym się im przypatrzył i poczuł do nich wstręt.

**7. Gdy stało się dla mnie jasne, że Faustus zupełnie się nie zna na tych sprawach, w których oczekiwałem od niego wielkiego znanstwa, straciłem nadzieję,** żeby kiedykolwiek mógł on uchylić przede mną zasłony tajemnicy i rozwiązać dręczące mnie kwestie. Pomimo tej ignorancji mógłby oczywiście być człowiekiem prawdziwie pobożnym, gdyby nie był manichejczykiem. Księgi manichejskie

pełne są rozwlekłego bajania o niebie, o gwiazdach, a słońcu i księżycu. Bardzo zależało mi na tym, żeby Faustus zestawiał te teorie z obliczeniami matematycznymi, z jakimi się stykałem w innych książkach, i żebym mógł osądzić, czy manichejskie teorie są słuszniejsze albo czy przynajmniej są równie prawdopodobne. Zrozumiałem jednak, że Faustus nie potrafi dokładnie mi tego wyjaśnić.

Kiedy proponowałem, byśmy wspólnie zbadali i przedyskutowali te problemy, był dostatecznie skromny, aby się uchylić od podjęcia tak trudnego zadania. Wiedział, że nie rozumie tych zagadnień, i nie wstydził się wyznać tego otwarcie. Nie był podobny do ludzi, których gadulstwo nieraz musiałem znosić, gdy próbowali mnie w owych kwestiach pouczać, a zupełnie się na nich nie znali. Jego stosunek do Ciebie, Panie, nie był właściwy; ale przynajmniej siebie samego Faustus trzeźwo oceniał. Rozumiał swoje ograniczenia i nigdy nie dał się wciągnąć do dyskusji, w której ani nie zdobyłby się na właściwe rozwiązanie, ani nie miałby możliwości odwrotu. Już to jedno mi się w nim podobało. Bo skromność i szczerść są większymi ozdobami ducha niż taka wiedza, jaka pragnąłem zdobyć.

Podobną zauważyłem u niego postawę wobec wszystkich trudniejszych i bardziej zawiłych kwestii. Załamało się moje zainteresowanie naukami manichejskimi, a moje zaufanie do innych nauczycieli tej sekty znacznie się zmniejszyło, gdy stwierdziłem, że Faustus, którego tak wysławiali, jest bezradny wobec trapiących mnie zagadnień. Podłożem naszego zbliżenia stał się jego entuzjazm dla literatury, którą właśnie wtedy wykładałem studentom w szkole retorycznej w Kartaginie. Czytałem wspólnie z nim zarówno dzieła, o których słyszał i które pragnął poznać, jak i te, które sam uznałem za odpowiednie dla człowieka o takiej inteligencji.

Natomiast wszystkie dawne zamiary wchodzenia głębiej w życie sekty manichejskiej całkowicie porzuciłem, gdy bliżej poznałem tego człowieka. Nie odciąłem się jednakże od manichejczyków zupełnie. Dopóki nie znajdowałem niczego lepszego od owych koncepcji, na które się natknąłem mniej czy bardziej przypadkowo, postanowiłem na razie nimi się zadowolić — i czekać, czy nie zabłyśnie dla mnie coś, co byłoby bardziej godne uznania.

Tak to się stało, że Faustus, który dla wielu ludzi był siłą śmierci, te sidła, w jakie ja się przedtem uwikłałem, zaczął powoli rozluźniać, chociaż sam ani nie żywił takiego zamiaru, ani w ogóle nic o tym nie wiedział. W niedocieczonej bowiem tajemnicy Opatrzności ręce Twoje, Boże mój, nie opuszczały mnie; a otrzymywałeś w mojej intencji ofiarę z serdecznej krwi mojej matki wśród łez wylewanych przez nią za dnia i w nocy. Postępowałeś wobec mnie w sposób cudowny i niepojęty. To Ty kierowałeś mną, Boże mój; albowiem Pan będzie kierował krokami człowieka, a drogę jego uzna.<sup>6</sup> A cóż zapewni zbawienie, jeśli nie ręka Twa, którą odnawiasz to, co stworzyłeś?

**8. Tak więc mną pokierowałeś, że postanowiłem udać się do Rzymu i nauczać** tam tego samego, czego uczyłem studentów w Kartaginie. W tych wyznaniach przed Tobą nie pominę milczeniem, jak doszedłem do owego przekonania, bo również w takich sprawach trzeba rozważać i sławić najgłębsze Twoje tajemnice i stale czujną opiekę Twego miłosierdzia nad nami. Nie dlatego chciałem wędrować do Rzymu, że przyjaciele, którzy mnie do tego nakłaniali, obiecywali mi tam wyższe zarobki i większe zaszczyty. Oczywiście, również te względy odgrywały niejaką rolę.

Głównym jednak i niemal jedynym motywem było to, że w Rzymie, jak słyszałem, studenci zachowywali się spokojniej. Poddani byli surowszej dyscyplinie i nie pozwalano im wdzierać się bezczelnie i niespodziewanie do sal wykładowych tych nauczycieli, którym wcale nie podlegali. W ogóle nie wolno im było wchodzić bez pozwolenia nauczyciela.

W Kartaginie zaś panuje ohydna samowola uczniów. Wpadają do sali gwałtem jak szaleńcy i niweczą porządek, jaki każdy nauczyciel ustalił dla dobra studentów. Z czystej głupoty dopuszczają się wielu czynów, które byłyby karalne, gdyby tych młodzieńców nie osłaniał obyczaj. Ten obyczaj zresztą uwydatnia jeszcze bardziej ich okropne postępowanie, usprawiedliwia bowiem czyny, na jakie Twoje wieczne prawo nigdy by nie pozwoliło. Myśl robią to bezkarnie. A przecież zaślepienie, w jakim popełniają te przestępstwa, jest już samo w sobie i znacznie cięższej sami doznają szkody, niż szkodzą innym. Jako student odcinałem się od takich obyczajów wtedy, gdy wykładałem, musiałem je tolerować u innych.

Pragnąłem więc przenieść się tam, gdzie, jak mi mó ludzie świadomi rzeczy, nic podobnego się nie działo. Naprawdę jednak to było tak, że dla zbawienia mej duszy skłoniłeś mnie do zmiany miejsca pobytu, Ty, któryś nadzieją jest mą i wszystkim, co mi zostało na ziemi żyjących.

Ty zgotowałeś zarówno oścień, który mnie wyganiał z Kartaginy, jak i tamte przynęty, które mnie do Rzymu ciągnęły. W tym celu posłużyłeś się ludźmi, których serca były oddane życiu będącemu w istocie śmiercią: jedni zachowywali

się jak szaleńcy, drudzy obiecywali mi nedorzeczne korzyści. Po to, aby naprawić moje życie, posługiwałeś się skrycie ich przewrotnością, jak i moją. Tych, którzy zakłócali mój spokój, zaślepiła pasja przemocy; ci, którzy mnie zapraszali do innej egzystencji, mieli upodobanie tylko w rzeczach ziemskich. Dla mnie zaś samego przebywanie w Kartaginie było taką udręką, że wyciągałem ręce do tamtej złudnej pomyślności.

Ty wiedziałeś, Boże, dlaczego opuszczam jedno miejsce i udaję się do innego. Ale prawdziwej przyczyny nie odsłaniałeś ani przede mną, ani przed moją matką, którąmój wyjazd gorzko opłakiwała i odprowadziła mnie aż nad morze. Kurczowo się mnie trzymała, mając nadzieję, że albo ulegnę jej prośbom i zostanę, albo zabiorę ją z sobą. Zwiodłem ją wymówką, że jest ze mną przyjaciel, z którym nie chcę się rozstać, dopóki nie powieje wiatr i jego okręt nie ruszy. Okłamałem matkę — i to taką matkę! — uniknąłem kary. Tyś miłosiernie odpuścił mi i to, chromnie od grozy fal morza, chociaż byłem napełniony taką ohydą, i zachowując mnie dla wody Twojej łaski. Woda ta miała mnie obmyć i powstrzymać strumień łez, którymi matka moja codziennie ziemię skrapiała, pochylając głowę w modlitwie zanoszonej w mojej intencji ku Tobie, Ale nie chciała wrócić do domu beze mnie i osiągnąłem tylko tyle, że spędziła tę noc w znajdującej się niedaleko od naszego okrętu kaplicy poświęconej błogosławionemu Cyprianowi. Tej samej nocy ja potajemnie odpłynąłem, ona zaś została modląc się i płacząc. A o cóż Ciebie prosiła,

Boże mój, wśród tylu łez, jeśli nie o to, żebyś nie pozwolił mi odpłynąć? Lecz Ty, głęboko rzecz ujmując i wysłuchując prawdziwej treści jej życzenia, pominąłeś to, o co wówczas prosiła, aby ze mną uczynić to, o co Ciebie prosiła zawsze. Powiał wiatr i napełnił nasze żagle. Brzeg począł się oddalać od naszych oczu. Tego rana ona szalała z bólu, skarżąc się Tobie i jęcząc, bo myślała, żeś wzgardził jej modlitwą. Ty zaś pozwalałeś, aby moje własne pragnienia pognały mnie ku kresowi tych pragnień; a jej zbyt zazdrosną miłość do syna poddałeś słusznej chłości smutku.

Bo jak to zwykle dzieje się u matek — i znacznie bardziej niż u większości z nich — chciała mieć mnie zawsze przy sobie. A nie wiedziała, jaką radość miałeś jej zgotować skutkami mojego wyjazdu. Nie rozumiała tego, więc płakała, zanosila się płaczem. Cierpienia, jakich doznawała, świadczyły o tym, że odziedziczyła brzemię Ewy, poszukującej w bólu tego, co w bólu urodziła. Ale w końcu przestała mnie oskarżać o zdradę i okrucieństwo i od nowa zaczęła się modlić do Ciebie w mojej intencji. Wróciła do swoich zajęć domowych, a ja zbliżałem się do Rzymu.

**9. Tu od razu powaliła mnie ciężka choroba,** która o mało co nie zepchnęła mnie do piekła z brzemieniem obarczających mnie grzechów, jakie popełniłem przeciw Tobie i przeciw sobie samemu, a także przeciw innym ludziom — wielu ciężkich win dołączonych do owych kajdan grzechu pierwotnego, przez który wszyscy w Adamie umieramy.<sup>7</sup> Jeszcze żadnego z tych grzechów nie odpuściłeś mi w Chrystusie. Jeszcze nie rozerwał On na krzyżu owej nieprzyjaźni, jaką grzechy moje uplotły między mną a Tobą. Jakże by mógł ją rozerwać na krzyżu, gdyby był tylko widmem — jak wówczas o Nim mniemałem? Jak pozorna wydawała mi się śmierć Jego ciała, tak prawdziwa była śmierć duszy mojej. A jak prawdziwa była w

istocie śmierć Jego ciała, tak pozorne było życie duszy mojej, która w to nie wierzyła. Gorączka się wzmagała. Byłem już bliski śmierci i zguby duszy. Dokądże bym odszedł, gdybym wówczas umarł? Czyż nie w ogień i mękę, godne moich czynów według Twego sprawiedliwego prawa? Moja matka nie wiedziała o tej chorobie, ale z dala modliła się w mojej intencji. Ty, wszędzie obecny, wysłuchiwałeś jej tam, gdzie przebywała. A tu, gdzie ja byłem, pochylałeś się miłosiernie nade mną, abym odzyskał zdrowie ciała, chociaż serce bluźniercze było nadal pogrążone w chorobie. Bo nawet w tak wielkim niebezpieczeństwie nie zapragnąłem jeszcze Twojego chrztu. Lepszy byłem dawniej, jako chłopiec, gdy żądałem tego od pobożnej matki, jak to już wspominałem i wyznałem. Dorastając stałem się gorszy i jak błazen śmiałem się z Twoich lekarstw. A Ty dwukrotnie uchroniłeś mnie od śmierci. Gdybym umarł w tym stanie, serce mojej matki już by nigdy nie przestało krwawić po takim ciosie. Nie potrafię słowami wyrazić, jak bardzo mnie kochała i o ile bardziej cierpiała rodząc mnie do życia duchowego, niż wtedy, gdy mnie wydawała na świat.

Nie wyobrażam sobie, że mogłaby kiedykolwiek podźwignąć się z bólu, gdyby śmierć moja w takim stanie przeszła na wskroś jej miłujące serce. Gdzież by się podziały te nieskończone jej błagania, tak usilne, tak nieprzerwane? Przecież dobijały się one tylko do Ciebie. Czyżbyś więc Ty, Boże hojny w miłosierdziu, mógł wzgardzić sercem skruszonym i ukorzonym wdowy cnotliwej i rozważnej, rozdającej jałmużnę, pokornie służącej świętym Twoim, co dzień składającej dary u Twego ołtarza, dwa razy każdego dnia — rano i wieczorem — przychodzącej do Twego kościoła nie dla babskich plotek, ale po to, by ona słuchała Twego głosu w kazaniach, a Ty byś słuchał jej głosu w modlitwach? Czy mogłeś wzgardzić jej łzami, czy mogłeś nie wysłuchać jej modlitw, w których błagała Cię nie o srebro i złoto, nie o jakiegokolwiek dobra zmienne i przemijające, lecz o zbawienie duszy swego syna? Z Twojej przecież łaski była taka, jaka była. Nie mogłeś jej, Panie, odmówić pomocy.

Byłeś przy niej, przyjmowałeś jej prośby i spełniałeś je w takiej kolejności i w takich porach, jak to z góry postanowiłeś. Na pewno nie zwodziłeś jej w udzielanych widzeniach i odpowiedziach, tych, o których wspominałem, i innych, które pominąłem. Wszystkie zachowywała wiernie w sercu. I w modlitwach stawiała Ci przed oczy owe znaki, jakby to były Twoje podpisy. Ponieważ miłosierdzie Twoje trwa na wieki, raczysz przez swe obietnice stawać się dłużnikiem tych, którym wszystkie ich długi odpuszczasz.

10. Podźwignąłeś mnie więc z choroby, przywróciłeś synowi Twej służebnicy zdrowie ciała, abyś później mógł go obdarzyć lepszym i pewniejszym uzdrowieniem. Także w Rzymie, jak przedtem w Kartaginie, obracałem się w kręgach „świętych”, ludzi, którzy sami dali się oszukać i innych oszukiwali. Stykałem się nie tylko ze „słuchaczami” — właśnie w domu jednego z nich przebyłem chorobę i powróciłem do zdrowia — lecz także z tymi, których nazywają "wybranymi". Ciągle trwałem w mniemaniu, że to nie my grzeszymy, lecz grzeszy w nas jakaś obca nam natura. Dogodne było dla mej pychy to przekonanie, że nie ciąży na mnie żadna wina i że wtedy, gdy coś złego uczyniłem,



nie muszę się z tego spowiadać — prosząc, abys uzdrowił duszę moją, bom zgrzeszył przeciw Tobie. Wołałem ją usprawiedliwiać, a oskarżać coś innego, co było ze mną, a mną nie było. W rzeczywistości to wszystko należało całkowicie do mnie i tylko moja bezbożność dokonywała takiego podziału i przeciwstawiała jedną część mego „ja” drugiej części. Grzech mój był tym trudniejszy do uleczenia, że nie uważałem siebie za grzesznika. Przekłeta to była niegodziwość: wołałem Ciebie, Boże wszechmogący, pokonać ku mej zgubie niż pozwolić, żebyś Ty mnie pokonał ku mojemu zbawieniu.

Jeszcze nie postawiłeś straży przy ustach moich, wrotami mocnymi nie obwarowałaś warg moich, aby nie nachylało się serce ku słowom złowrogim, ku usprawiedliwianiu grzechów wspólnie z ludźmi czyniącymi nieprawość.<sup>8</sup> Dlatego też nadal miałem konszachty z „wybranymi” sekty manichejskiej. Ale już straciłem nadzieję, żebym mógł coś więcej skorzystać z jej fałszywej doktryny, i traktowałem ją z coraz większą obojętnością i niedbałością, postanowiwszy zadowalać się nią tylko dopóty, dopóki nie znajdę czegoś lepszego. Przyszło mi też wtedy do głowy, że najrozsądniejsi ze wszystkich filozofów są tak zwani akademicy. Uznali oni, że o wszystkim należy wątpić i że człowiek nie jest zdolny do poznania czegokolwiek w sposób pewny.

Takie jest powszechne wyobrażenie o ich poglądach i mnie też wydało się niewątpliwe, że tak właśnie myślą; ale jeszcze nie rozumiałem wtedy sensu ich nauki. Jednocześnie nie zawahałem się przed tym, żeby mojego gospodarza odwozić od nadmiernego zaufania do baśni wypełniających książki manichejskie. Nadal jednak pozostawałem w bliższych stosunkach z manichejczykami niż z ludźmi spoza tej sekty. Wprawdzie nie broniłem już jej z dawnym zapałem, ale bliska zażyłość z jej wyznawcami — Rzym kryje wielką ich liczbę — osłabiała we mnie chęć do szukania innej wiary, zwłaszcza że zwątpiłem w możliwość znalezienia prawdy w Twoim Kościele, Panie nieba i ziemi, Stwórco wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych.

To oni mnie odciągnęli od Kościoła. A bardzo też się wzdragałem przed wierzeniem w to, że masz kształt ciała ludzkiego, ograniczony zarysami takich członków, jakie my mamy. Ilekroć zaś myślałem o Bogu moim, nie umiałem inaczej Go sobie wyobrazić niż jako masę materialną; nie mogłem bowiem pojąć istnienia czegokolwiek innego. Była to najważniejsza i właściwie niemal jedyna przyczyna tego, że ciągle się nie mogłem uwolnić od błędów. Także zło uważałem za substancję: za olbrzymią, bezkształtną, wstrętną masę materii, która mogła mieć postać stałą — wtedy manichejczycy nazywali ją ziemią — albo rozrzedzoną i ulotną, jak powietrze. Według ich wyobrażeń zło w tej drugiej postaci jest złowrogą myślą przenikającą ziemię. A ponieważ nawet ta odrobina pobożności, jaka była we mnie, uniemożliwiała mi przyjęcie mniemania, jakoby Bóg stworzyć mógł jakąkolwiek naturę złą, wyobrażałem sobie, że przeciwstawiają się sobie nawzajem dwie masy materii, przy czym obie są nieskończone, lecz zła w mniejszym, a dobra w większym stopniu. Z tej fatalnej pomyłki wynikały wszystkie dalsze bluźniercze wierzenia.

Ilekroć usiłowałem wrócić do wiary katolickiej, umysł mój się przed tym wzdragał, gdyż pojmował tę wiarę w sposób wypaczony. Teorie moje zmuszały mnie do

uznawania, że jesteś skończony tylko pod jednym względem, mianowicie w takim stopniu, w jakim masa zła zdolna jest do przeciwstawiania się Tobie. O Boże mój, którego miłosierną opiekę wspominam teraz przed Tobą! Skoro uważałem, że pod każdym innym względem jesteś nieskończony, wydawało mi się to pobożniejszym wierzeniem niż uznanie, że pod każdym względem ograniczają Cię zarysy ludzkiego ciała. Wolałem wierzyć, że nie stworzyłeś żadnego zła, niż przyjąć, że zło w takiej postaci, jak je sobie wyobrażałem, pochodzi od Ciebie. W niewiedzy bowiem swojej wyobrażałem sobie zło nie tylko jako substancję, lecz jako substancję konkretnie cielesną; bo i myśl wyobrazić sobie potrafiłem tylko jako rozrzedzoną materię rozpyloną w świecie. Także Zbawiciela naszego, jedynego Twojego Syna, pojmowałem jako wyłonionego w jakiś sposób z Twojej bezmiernie świetlistej materii ku naszemu zbawieniu; nie potrafiłem inaczej Go sobie wyobrazić niż tak, jak mi Go przedstawiały owe niedorzeczne pomysły. Uważałem, że taka natura nie mogłaby się narodzić z Maryi Dziewicy bez zmieszania się z ludzkim ciałem. Nie widziałem zaś możliwości, żeby natura ta, będąc taka, jak ją sobie wyobrażałem, mogła się z nim mieszać i nie zostać skażona. Wzdragałem się więc przed wiarą w Jego cielesne narodzenie, abym nie musiał wierzyć w to, że został ludzkim ciałem skażony. Ludzie natchnieni Twoim duchem będą się łagodnie i miłosiernie śmiali ze mnie, czytając te moje wyznania. Ale ja taki właśnie byłem.

**11. Sądziłem też, że nie można odeprzeć zarzutów stawianych przez manichejczyków** Twojemu Pismu Świętemu. Czasem jednak szczerze pragnąłem przedyskutować poszczególne kwestie z kimś znającym te Księgi do głębi i poznać jego opinię. Jeszcze przed wyjazdem z Kartaginy słuchałem prelekcji niejakiego Helpidiusza, który podejmował publiczne dyskusje z manichejczykami, i zrobiło to na mnie silne wrażenie. Przytaczał z Pisma Świętego argumenty, którym niełatwo było się przeciwstawić, manichejczycy zaś odpowiadali mu, jak mniemałem, nieudolnie. Zresztą niechętnie wypowiadali się publicznie. Raczej skrycie nam szeptał, że Pismo Święte Nowego Testamentu sfalszowali pewni ludzie, którzy chcieli do wiary chrześcijańskiej wprowadzić prawo żydowskie. Ale żadnych egzemplarzy nie sfalszowanych jakoś nam nie pokazywali. Najbardziej jednak przygniatały mnie i dusiły owe dwie masy materialne, poza którymi nie umiałem sobie wyobrazić żadnego bytu. Dławiąc się, szukałem ustami czystego i jasnego tchnienia Twojej prawdy, ale jeszcze ciągle nie mogłem nią odetchnąć.

12. Z całym zapalem zabrałem się do nauczania w Rzymie sztuki oratorskiej. To było przecież celem mojego przyjazdu. Najpierw we własnym domu uczyłem grupę młodzieży, która już przedtem o mnie słyszała, a przez nią stałem się lepiej znany w mieście. I oto dowiaduję się, że tu w Rzymie są kłopoty, z jakimi się nie stykałem w Kartaginie. Wprawdzie przekonałem się, że nie ma tu takich awantur, jakie młodzi rozbójnicy urządzali w Afryce. Ale, mówią mi znajomi, nieraz tak się zdarza, że studenci umawiają się, iż nie zapłacą nauczycielowi za lekcje, i po prostu przenoszą się do innego; nie mają w tym żadnych skrępułów — uczciwość nic dla nich nie znaczy wobec pożądanego pieniędzy. Serdecznie ich nienawidziłem za to,

ale nie była to nienawiść bezinteresowna, bo chyba bardziej mnie oburzało, że mieli mi wyrządzić szkodę, niż że w ogóle postępowali wobec ludzi nieuczciwie. Nie zmienia to faktu, że tacy studenci są bardzo nieuczciwi. Sprzeniewierzają się Tobie, oddają się przelotnym złudzeniom, kochają brudne pieniądze, które plamią rękę. Chwyatają w objęcia świat, który wciąż się im wymyka, a odwracają się od Ciebie, który zawsze trwasz — przywołujesz grzeszną, zdradzającą Cię duszę ludzką i przebaczasz jej, gdy do Ciebie wraca. Studenci postępujący tak niegodziwie, tak krętasko, nadal mnie oburzają, ale jednocześnie ich kocham, mając nadzieję, że będzie można ich naprawić, że samą naukę, którą mają zgłębiać, pokochają bardziej niż pieniądze, a jeszcze bardziej niż naukę — Ciebie, swego Boga, któryś jest prawdą i źródłem obfitym takiego dobra, jakie nigdy nie zawodzi, i pokojem najczystszej niewinności. Ale wtedy bardziej byłem skłonny do nienawidzenia ich za to, że mnie mogą przynieść szkodę, niż do nadziei, że uczynię ich dobrymi po Twojej myśli.

**13. Kiedy więc prefekt Rzymu otrzymał z Mediolanu list z prośbą o przysłanie do tego miasta nauczyciela retoryki** i z zapewnieniem, że koszty podróży zostaną pokryte z finansów publicznych, zgłosiłem gotowość objęcia tej pracy. Zaopatrzony byłem w rekomendacje od owych manichejczyków, którzy się tak upajali najgorszymi bredniami. Ten wyjazd miał oznaczać koniec mojego związku z nimi, ale ani oni, ani ja nie wiedzieliśmy wówczas o tym. Sprawdziwszy moje umiejętności, prefekt Symmachus wysłał mnie do Mediolanu.

Zastałem tu Twego pobożnego sługę, biskupa Ambrożego; znany on był w całym świecie jako człowiek, któremu niewielu ludzi dorównywało dobrocią. Wymowne jego kazania hojnie udzielały ludowi tłustości Twego zboża, wesołości oliwy, trzeźwego upojenia, jakim darzy Twoje wino. <sup>9</sup> Właśnie Ty przywiodłeś mnie do niego, chociaż się tego nie domyślałem wcale. Według Twego zamierzenia miałem poprzez niego dojść do samego Ciebie. Boży ten człowiek przyjął mnie jak syna. I jako biskup radośnie mnie powitał w swym mieście. Pokochałem go, na razie nie jako nauczyciela prawdy — tego bowiem w Twoim Kościele zupełnie nie spodziewałem się znaleźć — lecz jako człowieka, który był mi życzliwy. Uważnie, ale z niewłaściwym nastawieniem słuchałem jego kazań głoszonych wiernym. Sprawdzałem, czy jego talenty krasomówcze odpowiadają jego sławie; czy kazania są lepiej, czy gorzej wygłaszane, niż zapowiadała fama. Chciwie łowiłem jego słowa, samej zaś treści nie byłem ciekaw, a nawet nią gardziłem. Czarowała mnie jego wymowa, ale chociaż był bardziej wykształcony niż Faustus, nie było w jego stylu aż takiego roziskrzenia i takiej miękkości, jakie cechowały retorykę Faustusa. Natomiast pod względem treści nie mogło być oczywiście żadnego między tymi dwoma mówcami porównania. Jeden się błąkał po bezdrożach manichejskich fałszów, drugi z największą pewnością głosił naukę zbawienia. Ale — daleko od grzeszników zbawienie; a ja się właśnie do grzeszników zaliczałem. Krok za krokiem jednak przybliżało się już ono do mnie, chociaż o tym nie wiedziałem.

**14. Bo chociaż nie brałem sobie do serca tego, co mówił Ambroży,** a zwracałem uwagę tylko na formę jego wypowiedzi (takie to mi zostały jałowe zainteresowania, gdy straciłem nadzieję, że człowiek może znaleźć drogę do Ciebie), to jednak stopniowo docierała do mojego umysłu, razem ze słowami, które mi się podobały, także sama treść — tak bardzo przeze mnie lekceważona. Jednego nie mogłem całkowicie oddzielić od drugiego. Gdy pilnie śledziłem jego kunszt krasomówczy, jednocześnie, bardzo powoli, zaczynało świtać zrozumienie, że on przecież prawdę mówi! Najpierw uderzyło mnie to że jego tezy oparte są na mocnych argumentach.

Zrozumiałem, że wiarę katolicką, która przedtem wydawała mi się całkowicie bezbronna wobec zarzutów manichejczyków, można rzeczowo uzasadniać. Oto na jedną po drugiej zagadkę Starego Testamentu padało światło właściwej interpretacji, a były to takie zagadki, które wtedy, gdy przyjmowałem je według litery, zabijały mnie duchowo.<sup>10</sup> Kiedy poznałem właściwe wyjaśnienie owych ustępów, sam zacząłem mieć sobie za złe moje dawne zwątpienie — przynajmniej w takiej mierze, w jakiej dawniej mniemałem, że nie można odpowiedzieć rzeczowymi argumentami na zarzuty ludzi, którzy nienawistnie szydzą z Prawa i Proroków. Z tego wówczas nie wyciągnąłem jeszcze wniosku, że powinienem kroczyć drogą wiary katolickiej jako tej, która też ma swoich uczonych i obrońców skutecznych, odpierających zarzuty mocnymi i licznymi argumentami. Nie uważałem też jeszcze, że dotychczasowe moje wierzenia trzeba odrzucić. Sądziłem, że za obiema stronami przemawiają równie silne argumenty. Strona katolicka nie wydawała mi się pokonana, ale moim zdaniem nie była też zwycięska.

Potem zacząłem się bardzo usilnie zastanawiać, czy są pewne dowody na to, że manichejczycy głoszą nieprawdę. Gdybym umiał pojąć substancję duchową, wszystkie ich sztuczne konstrukcje od razu by się przed moimi oczyma rozpadły, a umysł mój byłby wolny. Ale nie potrafiłem tego pojąć. Im dłużej jednak rozmyślałem o świecie materialnym i o całej naturze — w takim zakresie, w jakim możemy ją poznać poprzez zmysły naszego ciała — i im więcej poznawałem i badałem różnych teorii, tym bardziej umacniałem się w przekonaniu, że największą szansę prawdopodobieństwa mają opinie większości filozofów. Zgodnie więc z zasadą, jaką się przypisuje akademikom, wątpiełem we wszystko i trwałem zawieszony między różnymi teoriami.

Od manichejczyków jednak postanowiłem odejść. Uważałem, że w okresie wątpienia nie powinienem pozostawać w tej sekcie, skoro tezy niektórych filozofów bardziej mi trafiały do przekonania niż jej wierzenia. Stanowczo jednak odrzucałem myśl o powierzeniu troski o uleczenie mej duszy owym filozofom, gdyż nie znali oni zbawczego imienia Chrystusa. Postanowiłem — zgodnie z życzeniem moich rodziców — pozostać katechumenem Kościoła katolickiego aż do czasu, gdy mi zabłyśnie jakieś pewne światło, według którego będę mógł kroczyć naprzód.

<sup>1</sup> Por. 1 Kor 1, 30.

---

<sup>2</sup> Por. Rz 1, 21—25.

<sup>3</sup> Por. Rz 1, 21.

<sup>6</sup> Por. Ps 36, 23.

<sup>7</sup> Por. 1 Kor 15, 22.

<sup>8</sup> Por. Ps 140, 3—4.

<sup>9</sup> Por. Ps 103, 15.

<sup>10</sup> Por. 2 Kor 3, 6.